

Silver

Silver



Kerstin Gier

Silver

Trzecia księga snów



Tłumaczyła

AGNIESZKA HOFMANN



must read

Tytuł oryginału
SILBER. DAS DRITTE BUCH DER TRÄUME

Originally published as: *Silber. Das dritte Buch der Träume*
Copyright © S. Fischer Verlag GmbH, Frankfurt am Main 2015
Cover illustration by Eva Schöffmann-Davidov © Fischer Verlag GmbH,
Frankfurt am Main, 2016
Copyright © 2017 for the Polish edition by Media Rodzina Sp. z o.o.
All rights reserved

Opracowanie polskiej wersji okładki
Andrzej Komendziński

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki – z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych – możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8265-441-7
Książkę wydrukowano na papierze Lux cream 80 g 1,6
dostarczonym przez Zing Sp. z o.o.

Must Read jest imprintem wydawnictwa
Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 50
wydawnictwo@mediarodzina.pl

Skład i łamanie
Andrzej Komendziński

Druk
Abedik



Media Rodzina popiera ścisłą ochronę praw autorskich. Prawo autorskie pobudza różnorodność, napędza kreatywność, promuje wolność słowa, przyczynia się do tworzenia żywej kultury. Dziękujemy, że przestrzegasz praw autorskich, a więc nie kopiujesz, nie skanujesz i nie udostępniasz książek publicznie. Dziękujemy za to, że wspierasz autorów i pozwalasz wydawcom nadal publikować książki.

Wszystkim śniącym świata





*All that we see or seem
is but a dream within a dream.*

EDGAR ALLAN POE







– Porozmawiajmy o pani demonie. Czy w ciągu ostatniego tygodnia słyszała pani, jak do pani mówi?

Odchylił się, splótł dłonie na brzuchu i popatrzył na nią wyczekująco. Odwzajemniła spojrzenie tymi niezwykle turkusowymi oczami, które fascynowały go od samego początku. Jak wszystko w niej, właściwie. Anabel Scott niewątpliwie była najatrakcyjniejszą pacjentką, jaką kiedykolwiek leczył, ale to nie to go w niej intrygowało. Fascynacja ta wynikała raczej z faktu, że nadal, po tylu godzinach terapii jeszcze jej nie rozgryzł. Wciąż potrafiła go zaskakiwać i prowokować, czego nie cierpiał. Złościł się za każdym razem, kiedy udawało jej się wzbudzić w nim przekonanie, że to ona ma nad nim przewagę, choć przecież był lekarzem specjalistą ze stopniem doktora, a ona zaledwie osiemnastoletnią dziewczyną o znacznych zaburzeniach osobowości.

Dziś jednak sesja przebiegała całkiem dobrze. To on miał kontrolę nad wszystkim.

– To nie jest mój demon – odparła i przymknęła oczy. Jej rzęsy były tak długie, że rzucały cienie na policzki. – Ale nie, niczego nie słyszałam. Ani nie wyczuwałam.

– Dobrze, w takim razie upłynęło już, niech policzę, szesnaście tygodni, podczas których nie słyszała, nie widziała ani nie wyczuwała pani demona, zgadza się? – Celowo nadał swym słowom odrobinę wyniosłe brzmienie, wiedząc, że ją tym sprowokuje.

– Tak – powiedziała.

Podobał mu się ten jej pokorny ton. Pozwolił sobie na półuśmiech.

– Co pani zdaniem spowodowało, że halucynacje zniknęły?

– Może... – Przygryzła wargę.

– Tak? Proszę mówić głośniej.

Westchnęła i odgarnęła z twarzy jeden ze swych błyszczących, złotych pukli.

– Może to zasługa leków – przyznała.

– Słuszne spostrzeżenie.

Pochylił się, żeby sporządzić notatkę. Wymyślił na poczekaniu kilka skrótów: *A.k, ds, w, hr. przekr.* Wiedział, że pacjentka czyta jego zapiski do góry nogami i zastanawia się, co one, na Boga, mogą znaczyć. Z trudem udało mu się pohamować triumfalny uśmiezek. Tak, bez wątpienia obudziła w nim sadystyczną nutę i owszem, już dawno przestał zachowywać się w sposób profesjonalny. Ale było mu to obojętne. Anabel nie była zwyczajną pacjentką. Zależało mu na tym, żeby w końcu uznała jego kompetencje. W końcu

był doktorem Ottonem Martensonem, który w przyszłości zostanie ordynatorem oddziału psychiatrycznego. W instytucie, w którym ona prawdopodobnie spędzi resztę swego życia.

– W terapii wielopostaciowej psychotycznej schizofrenii, jak w pani przypadku, leki są niezbędne – ciągnął, odchylając się i napawając wyrazem jej twarzy. – Jednakże nasza terapia obejmuje znacznie więcej. Odsłoniliśmy pani traumy z dzieciństwa i dokonaliśmy analizy przyczyn pani złudzeń pamięciowych. – Była to spora przesada. Od ojca dziewczyny wiedział, że pierwsze trzy lata życia spędziła w podejrzonej sekcie odprawiającej rytuały czarnej magii, ale sama Anabel niczego nie pamiętała. Próby wydobycia wspomnień za pomocą hipnozy – metody, którą zastosował nielegalnie – również nie dały żadnego rezultatu. W rzeczywistości znajdowali się na tym samym etapie, co na początku terapii. Nie było nawet pewności, czy przyczyn zaburzeń psychotycznych Anabel rzeczywiście należało szukać w jej dzieciństwie. W ogóle, jeśli chodzi o tę pacjentkę, nie można było być niczego pewnym. Mniejsza o to, najważniejsze, że widziała w nim doświadczonego lekarza, który potrafił wejrzeć w jej wnętrze i któremu zawdzięczała wszystkie swoje przekonania. – Nareszcie jest pani gotowa zaakceptować, że demon istniał jedynie w pani fantazji.

– Niech pan go tak nie nazywa. – Odsunęła krzesło i wstała.

– Anabel! – zgromił ją surowo. A tak dobrze szło. – Nasza sesja jeszcze się nie skończyła.

– Ależ owszem, skończyła się, doktorku – odparła. – Zaraz zadzwoni mój budzik. Mam spotkanie z konsultantką do spraw studiów, którego w żadnym razie nie mogę przespać. Może się pan śmiać, ale rozważam pójście na medycynę, by specjalizować się w psychiatrii sądowej.

– Niech pani nie wygaduje bzdur, Anabel! – Ogarnęło go dziwne uczucie. Coś tu się nie zgadzało. Z nią. Z nim. Z tym pomieszczeniem. I dlaczego w powietrzu unosił się zapach perfum konwaliowych jego matki? Martenson, rozkojarzony, ujął pisak. Konsultantka do spraw studiów, co za absurd. Znajdowali się na klinicznym oddziale zamkniętym, Anabel bez jego zezwolenia nie mogła nigdzie wyjść, nawet do parku. – Proszę natychmiast usiąść z powrotem. Wie pani, jakie są reguły. To ja kończę sesję, nikt inny.

Anabel uśmiechnęła się z politowaniem.

– Biedaczysko. Jeszcze się pan nie zorientował, że pańskie reguły nie są niczym więcej jak – jak pan to nazwał? – złudzeniem pamięciowym?

Poczuł, że brakuje mu powietrza. Coś tam było, jakaś myśl, głęboko zakopane wspomnienie, informacja, o której wiedział, że musi ją koniecznie wydobyć na powierzchnię.

Ponieważ była ważna. Kwestia życia i śmierci. Tylko że po prostu nie potrafił do niej dotrzeć.

– Niech pan nie patrzy z takim zdumieniem. – Anabel była już przy drzwiach. Roześmiała się cicho. – Naprawdę muszę iść, ale w przyszłym tygodniu znów wpadnę w odwiedziny. Słowo. A na razie niech pan po prostu śni coś miłego.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, zamknęła za sobą drzwi. Usłyszał oddalające się korytarzem kroki. Ta bestyjka dobrze wiedziała, że on się nie zniży do tego, by pobiec za nią i tym samym odkryć przed wszystkimi, że nie panuje nad swoją pacjentką. Ale to był ostatni raz, kiedy zagrała mu na nosie, nie zamierzał więcej pozwalać na to, by kończyła sesję wbrew jego woli. Następnym razem wezwie pielęgniarzy, może nawet każe ją unieruchomić. Wciąż istniały środki, po które jeszcze nie sięgnął.

Kiedy zamknął historię choroby Anabel i odłożył ją do szuflady, nadal czuł lekki zapach konwalii, który przypominał mu matkę. I przez króciutką chwilę wydawało mu się nawet, że słyszy ją, jak szlochając, woła go po imieniu.

Po chwili jednak i jedno, i drugie wrażenie zniknęło i wszystko było jak zawsze.



Na deser był budyń z tapioki, ale ja i bez tego nie miałam apetytu. Wystarczyła sama sprawa z Rasmussem.

– Nie jesz tego, Liv? – Grayson wskazał ręką białawą, szklistą i trzęsącą się jak galareta masę. Swoją porcję grudkowatego kleiku z kompotem ananasowym już pochłonał.

Podsunęłam mu miseczkę.

– Nie, możesz zjeść, jeśli chcesz. Kolejny element brytyjskiej tradycji, na którego czar jestem niestety odporna.

– Ignorantka – skwitował Grayson z pełną buzią. Henry roześmiał się.

Był wtorek, początek marca, i słońce przeświecało przez wysokie po sam sufit, niedokładnie umyte okna szkolnej stołówki. Wyczarowywało delikatny pasiasty deseń na ścianach i twarzach, zanurzając wszystko w ciepłym świetle. Wmawiałam sobie nawet, że czuję w powietrzu zapach wiosny, ale może to był tylko duży bukiet narcyzów na stole nauczycieli, przy którym właśnie usiadła ucząca francuskiego pani Lawrence. Wyglądała, jakby miała za sobą jeszcze gorszą noc niż moja.

W powietrzu czuć było zatem wiosnę, a nam z Graysonem i Henrym udało się zająć nasz ulubiony słoneczny

stolik w rogu niedaleko wyjścia. W dodatku właśnie się dowiedziałam, że jutrzejszy sprawdzian z historii został odwołany. Krótko mówiąc, powinnam mieć świetne samopoczucie, ale tak nie było z powodu wspomnianej sprawy z Rasmusem, która leżała mi na sercu.

– Budyń z tapioki czasem występuje w wersji smacznej.
– Henry, który przewidująco nie wziął deseru, uśmiechnął się do mnie, więc na kilka sekund zapomniałam o problemach i odwzajemniłam uśmiech. Może jednak wszystko dobrze się skończy. Jak mawiała Lottie? „Nie ma problemów, są tylko wyzwania”.

Właśnie. Jakże nudne byłoby życie bez wyzwań! Mimo to wcale nie potrzebowałam dokładać do sterty trudności, którym i tak musiałam sprostać, kolejnej. Niestety, właśnie to zrobiłam.

Wszystko zaczęło się przedwczoraj wieczorem, a ja wciąż nie miałam pojęcia, jak z tego wybrnąć.

Henry i Grayson uczyli się do testu z matmy, a kiedy skończyli, Henry, wychodząc, wpadł do mnie, żeby powiedzieć mi dobranoc. Było już późno, w domu od dawna panował spokój, nawet Grayson myślał, że Henry sobie poszedł.

Prawdę mówiąc, trochę mnie zaskoczył jego widok, nie tylko ze względu na nocną porę, ale także dlatego, że nie zdołaliśmy jeszcze zdefiniować na nowo naszego związku i oficjalnie zmienić statusu z „po nieszczęśliwym rozsta-

niu” na „szczęśliwie pogodzeni”. Wprawdzie w ostatnich tygodniach milcząco przeszliśmy do tego, by trzymać się za ręce, a kilka razy nawet się pocałowaliśmy, można więc było odnieść wrażenie, że wszystko jest jak dawniej albo przynajmniej na najlepszej drodze ku temu – tak jednak nie było. Wydarzenia ostatnich miesięcy, a także to, co Grayson opowiedział mi o życiu miłosnym Henry’ego z okresu, zanim się poznaliśmy, pozostawiły po sobie ślad. Konkretnie przyprawiły mnie o trwały kompleks niższości z powodu mojego braku doświadczenia w dziedzinie seksu (albo, jak mawiała mama, mojego „niedorozwoju”).

Gdyby nie fakt, że czułam się taka szczęśliwa z powodu naszego ponownego zejścia się, być może zadałabym sobie trud, by dokładniej przeanalizować te tkwiące pod warstwą szczęścia i zakochania zadry, a gdybym to zrobiła, to może nigdy nie doszłoby do tej sprawy z Rasmusem.

A tak sama wycięłam sobie niezły numer.

Kiedy Henry wetknął głowę do pokoju, zamierzałam właśnie nałożyć na zęby nową szynę odciążającą. Mój dentysta alias Charles Spencer stwierdził bowiem, że we śnie zgrzytam zębami (w co natychmiast uwierzyłam), nakładka zaś miała zapobiec nocnemu ścieraniu szkliwa. Nie potrafiłam ocenić, czy szyna spełniała swoją funkcję, przede wszystkim jednak wywoływała ślinotok, dlatego nazywałam ją „plujką”.

Na widok Henry'ego natychmiast dyskretnie wsunęłam aparat w szparę między ramą łóżka a materacem. Wystarczyło już, że spodnie mojej piżamy kompletnie nie pasowały do góry, a całość też nie wyglądała zbyt twarzowo, chociaż Henry utrzymywał, że flanela w kratę jest szalenie seksowna. Z tego wszystkiego go pocałowałam, niejako w nagrodę za miły komplement, i tak, od pocałunku do pocałunku, który tym razem trwał nieco dłużej, w końcu (w tym czasie zatraciłam ciut poczucie czasu i przestrzeni) znaleźliśmy się na łóżku, szepcząc do siebie słowa przypominające teksty kiczowatych piosenek, które w moich uszach wcale nie brzmiały banalnie.

Status naszego związku ewoluował zatem w kierunku „szczęśliwie zakochani”, ja zaś coraz bardziej byłam skłonna uwierzyć, że w kraciastej flaneli wyglądam szalenie seksownie.

I wtedy Henry zastygł w pół ruchu, odgarnął mi z czoła kosmyk włosów i zapewnił mnie, że nie muszę się bać.

– Czego nie muszę się bać? – zapytałam, oszołomiona lekko po tych wszystkich pocałunkach. Potrzebowałam kilku sekund, by zdać sobie sprawę, że to się działo w prawdziwym życiu, a nie jak zazwyczaj we śnie, gdzie nikt nie mógł nam przeszkodzić. I to pewnie dlatego wszystko odczuwało się o wiele intensywniej niż zwykle.

Henry podparł się na łokciu.

– No wiesz. Tego, że to się dzieje za szybko. Że w jakiś sposób mógłbym wymagać od ciebie zbyt wiele. Albo że będę cię nakłaniał do czegoś, na co nie jesteś jeszcze gotowa. Naprawdę możemy czekać na twój pierwszy raz tak długo, jak tylko zechcesz.

No i wtedy to się stało. Dzisiaj, w jasno oświetlonej stolówce, nie potrafiłam sobie tego wytłumaczyć... To znaczy potrafiłam, ale to w najmniejszym stopniu nie poprawiało sytuacji. W każdym razie wszystko stało się przez słowa, jakich użył Henry. Ten cholerny „pierwszy raz”.

Było to hasło, które z miejsca wywoływało u mnie kompleks niższości. A ten nie występował sam, tylko w towarzystwie dobrej koleżanki: urażonej dumy. Oba te odczucia wynikały z mojego przekonania, że Henry traktował mnie z politowaniem z powodu mojego niedoświadczenia. W każdym razie jego spojrzenia przepełnione były czasem współczuciem.

Na przykład teraz.

– Och. Myślisz, że ja jeszcze nigdy nie spałam... z chłopakiem? – Usiadłam i owinęłam się ciaśniej kołdrą. – Ach, rozumiem. – Roześmiałam się lekko. – Wziąłeś na serio ten cały pic z dziewictwem podczas waszej zabawy w demona, tak?

– Ekhem... tak. – Henry również usiadł.

– Ale ja powiedziałam tak wtedy tylko po to, żebyście mnie przyjęli. – Urażona duma kazała mi mówić rzeczy, które później, po wszystkim, wprawiały mnie w takie samo zdumienie jak Henry’ego. Tymczasem silny kompleks niższości nabierał mocy.

Konsternacja, która pojawiła się na twarzy Henry’ego, oraz sposób, w jaki uniósł brew, od razu mi się spodobały. Politowanie zniknęło bez śladu.

– Nigdy tak naprawdę o tym nie rozmawialiśmy – paplałam. Niewiele brakowało, a zapomniałabym, że lżę jak najęta, tak przekonująco brzmiały moje słowa. – Oczywiście nie miałam tylu chłopaków, ile ty dziewczyn, ale... tak... był jeden chłopak, z którym byłam. W Pretorii.

Ponieważ Henry milczał, patrząc na mnie wyczekująco, ciągnęłam dalej.

– To nie była żadna wielka miłość ani nic w tym stylu, chodziliśmy ze sobą tylko trzy miesiące, ale seks z nim był...
– W tym momencie urażona duma (flądra jedna) ulotniła się nagle, a ja mogłam liczyć wyłącznie na siebie.

I natychmiast zapalałam do siebie wielką nienawiścią. Dlaczego to robiłam? Zamiast skorzystać z okazji do szczerzej rozmowy, wszystko tylko pogarszałam. W dodatku zaczerwieniłam się jak burak, ponieważ nie byłam w stanie dokończyć zdania. „Seks z nim był...” Halo? Dopiero te-

raz spostrzegłam, z jaką intensywnością Henry patrzył mi w oczy.

– ...całkiem OK – wymamrotałam ostatkiem sił.

– OK – powtórzył przeciągle Henry. – A jak... się nazywał... ten chłopak?

No właśnie, jak on się nazywał, ty cholerna urażona dumo? Coś takiego wymyślało się zawczasu! Im dłużej się wahasz, zanim skłamiesz, tym gorzej to robisz, każde dziecko to wie.

– Rasmus – wypaliłam naprędce. Było to pierwsze z brzegu imię, jakie przyszło mi do głowy, kiedy pomyślałam o RPA. Okazało się, że mimo wszystko potrafiłam dobrze łączyć.

Tak się wabił cierpiący na astmę chow-chow naszych sąsiadów, którym czasem się zajmowałam. Płacono mi sto randów za godzinę, bym wyprowadzała jego, mopsa zwanego Sir Barks Alot i naszą suczkę, Buttercup.

– Rasmus – powtórzył Henry, a ja z ulgą skinęłam głową. Całkiem dobre imię. Dla wyimaginowanych byłych chłopaków można wymyślić gorsze. Sir Barks Alot, na przykład.

Ku mojemu zdumieniu Henry zmienił temat, choć ja już wewnętrznie przygotowałam się na przesłuchanie. Dokładniej rzecz biorąc, nie zmienił tematu, tylko znowu zaczął mnie całować. Jakby chciał mi udowodnić, że potrafi to robić o wiele lepiej niż Rasmus. A potrafił, nawet

gdyby Rasmus istniał naprawdę – żaden Rasmus na świecie nie całował lepiej niż Henry, mogłam się założyć o cokolwiek.

Wszystko to wydarzyło się dwa dni temu i od tamtej pory nie wspominaliśmy o moim wymyślonym ekschłopaku ani słowem. Mój kompleks niższości miał wprawdzie tę krótką chwilę triumfu, ale na dłuższą metę kłamstwo rasmusowe nie było dobrą terapią. I dlatego we wtorkowe przedpołudnie na myśl o budyniu z tapioki i uśmiechu Henry'ego ścisnął mi się żołądek.

Grayson zdążył w tym czasie pożreć moją porcję i rozglądał się łakomym wzrokiem po stołówce, jakby spodziewał się zobaczyć dobrą wróżkę, która przyleci do naszego stolika, by zaproponować więcej miseczek z budyniem.

Zamiast dobrej wróżki z furkotem przemknęła obok nas Emily, obrzucając Graysona spojrzeniem definitywnie wymagającym pozwolenia na broń. Omal nie wpadła przy tym na biednego pana Vanhagena, który salwował się odważnym skokiem w stronę stolika nauczycieli, podczas gdy Emily kontynuowała swój przemarsz do miejsca wydawania posiłków, gdzie czekała już na nią siostra Graysona, Florence.

Emily od kilku tygodni była eksdziewczyną Graysona i z wielkim trudem dźwigała ów przedrostek „eks”. Podziwiałam Graysona za stoicki spokój, z jakim mierzył się z Emily. Teraz również tylko się uśmiechnął.

– Myślałem, że już na angielskim zaliczyłem dzisiejszą porcję wzgardliwych spojrzeń.

– Chyba zwiększyła dawkę. – Henry nachylił się, żeby lepiej widzieć obie dziewczyny. – Nie potrafię wprawdzie czytać z ust jak profesjonalista, ale jestem pewien, że właśnie opowiada twojej siostrze, o czym śniłeś dziś w nocy. Czekać... Króliczki? Serio?

Ponieważ wkręcanie Graysona zawsze było zabawne i w dodatku odwracało uwagę od moich własnych problemów, natychmiast podjęłam wątek.

– Och, to ten sen z puchatymi króliczkami? Ciekawe, jakie wnioski wyciągnie z tego Emily.

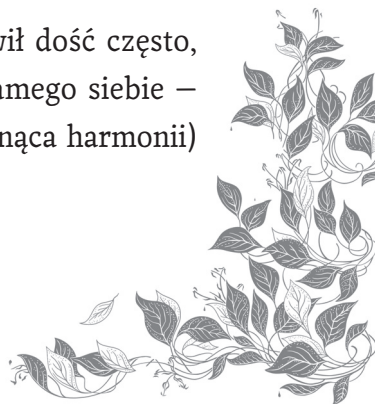
Grayson odłożył łyżeczkę i posłał nam łagodny uśmiech.

– Ile razy mam wam jeszcze powtarzać, że się mylicie? Emily nic nie wie o korytarzu. Poza tym nigdy w życiu nie szpiegowałaby ludzi w ich snach. Jest na to zbyt rozsądna i racjonalna.

Raczej pozbawiona fantazji, ale tego nie mogłam powiedzieć, bo Grayson kontynuował:

– Nie rozumiem, dlaczego wy ciągle o tym. Przecież już od tygodni absolutnie nic się nie wydarzyło. Cała ta sprawa skończyła się raz na zawsze.

Jak zwykle, kiedy tak mówił – a mówił dość często, prawdopodobnie po to, by przekonać samego siebie – jakaś częśćka mnie (ta dobroduszna i łaknąca harmonii)



życzyła sobie, aby miał rację. I była to prawda: w sennych korytarzach od dłuższego czasu panowała spokojna atmosfera.

– Arthur wziął sobie do serca nauczkę. Zostawi nas w spokoju – oznajmił z naciskiem Grayson, a dobroduszne i łaknące harmonii głosy w mojej głowie uderzyły w te same tony: Właśnie! Nie trzeba zawsze zakładać najgorszego! Ludzie się zmieniają. I w każdym tkwi odrobina dobra. Nawet w Arthurze.

– Jasne, Grayson. – Henry drwiąco zmarszczył czoło. – I na pewno już dawno ci wybaczył, że się do niego włamałeś i sprawiłeś mu łomot, kiedy spał. Poczciwa dusza.

Arthur siedział całkiem niedaleko nas, tuż za stolikiem nauczycieli, przy którym pan Vanhagen z ożywieniem rozmawiał z dyrektorką Cook, podczas gdy niewyspana pani Lawrence sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała zanurzyć głowę w zupie. Śmiał się z czegoś, co powiedział Gabriel, prezentując przy tym swe perfekcyjne uzębienie. Po obrażeniach zadanych mu przez Graysona nie został nawet ślad, twarz Arthura była jak zwykle anielsko piękna. Wyglądał na wyluzowanego i pewnego siebie. Natychmiast pożałowałam, że popatrzyłam w jego kierunku. Jego widok wciąż wzbudzał we mnie wściekłość. W dodatku wkurzało mnie, że inni nie mieli pojęcia, z kim siedzieli przy jednym stole.

– Może i ma mi jeszcze trochę za złe – przyznał Grayson. – Ale jest wystarczająco inteligentny, żeby wiedzieć, kiedy odpuścić. – Energicznie pozbierał swoje rozliczne miseczki i talerze. – Gdybyście wreszcie przestali we śnie wychodzić przez drzwi, których właściwie w ogóle nie powinno być, nikt nie poświęciłby temu nawet jednej myśli. – Najwyraźniej denerwował go wyraz powątpiewania na naszych twarzach, odwrócił bowiem wzrok, ale z przekornie wysuniętym podbródkiem dodał jeszcze: – Wszystko jest w najlepszym porządku.

Łaknące harmonii i dobroduszne głosy ostatecznie umilkły.

– Jasne, wszystko jest w najlepszym porządku. – Spiorunowałam Graysona spojrzeniem. – Nie licząc kilku drobiażdżków, na przykład faktu, że Arthur poprzysiągł do zgonną zemstę po tym, jak nie udało mu się zamordować mojej młodszej siostry. Albo tego, że krwiożercza Anabel wprowadziła swojego psychiatrę w upiorny stan wiecznej śpiączki i chodzi sobie na wolności. Albo tego, że twoja bardzo rozsądna i moralnie nieskazitelna eksdziewczyna zakrada się nocą do twoich snów. Ale co tam, to tylko drobiażdżki. Wszystko jest w najlepszym porządku.

– Przecież to nieprawda. – Chociaż w swojej przemowie wspomniałam zaledwie o ułamku naszych problemów, Grayson wyłowił z niej stosunkowo niewinne słowo „eksdziewczyna”. – A nawet gdyby, biorąc pod uwagę ten zupełnie

nieprawdopodobny przypadek, że rzeczywiście widzieliście na korytarzu Emily, to był to jeden jedyny raz. – Cisnął brudną łyżkę na stertę misek na tacy. – Pomijając fakt, że ona na bank nie jest zainteresowana moimi snami, to nie zdołałaby pokonać moich najnowszych zabezpieczeń. Zresztą wy też nie – dodał z ponurą nutą w głosie.

– Ojej, czyżby Straszliwy Freddy... – zaczęłam. Chciałam dokończyć „kazał sylabizować wspaniałe «budyń tapiokowy»?”, urwałam jednak, bo w tym momencie pani Lawrence zerwała się z miejsca i wskoczyła na stół.

A my zdaliśmy sobie sprawę, że cały czas byliśmy jak ludzie, którzy urządzają sobie piknik na zboczu wulkanu i wiedzą wprawdzie, że wulkan w każdej chwili może wybuchnąć, rozmawiają i kłócą się o to, jakie to strasznie niebezpieczne, ale dopiero kiedy ziemia pod nimi zaczyna się trząść, a lawa tryska w niebo, dociera do nich, że sytuacja jest naprawdę poważna. I że przegapili moment, w którym mogli się jeszcze uratować.

Pani od francuskiego przewróciła kilka szklanek, czym natychmiast zwróciła na siebie uwagę. Paru nauczycieli, obalanych sokiem lub wodą, zerwało się z krzeseł, dyrektorka Cook przytomnie uratowała wazon z narcyzami, a uczniowie wokół zaczęli szeptać.

Pani Lawrence miała koło czterdziestki, wąską twarz, ciemne włosy i długą, subtelną szyję, przez co przypominała

mi tę francuską aktorkę z bujną grzywką, Sophie jakąśtam. Nosiła z upodobaniem jasne bluzki, garsonki w stylu Coco Chanel i buty na obcasach, w których potrafiła poruszać się z niezwykłą szybkością. Włosy upinała w bardzo elegancki sposób i kiedy nie odrobiło się lekcji, przesywała człowieka srogim spojrzeniem. Właściwie odpowiadała wszelkim stereotypowym wyobrażeniom o nauczycielkach francuskiego. Zawsze odnosiliśmy wrażenie, że dyrektorka Cook nie zatrudniła jej, tylko zaangażowała ją bezpośrednio z planu jakiegoś filmu.

W tej chwili jednak jej wizerunek doznawał wielkiego uszczerbku. Nauczycielka, nie zwracając uwagi na zamieszanie wokół siebie, stała na stole pośród brudnych naczyń i porzucanych szklanek, rozkładając ramiona w teatralnym geście.

Pomyślałam, że zaraz wygłosi przemowę jak w *Stowarzyszeniu Umarłych Poetów* i zadeklamuje wiersz Whitmana, co byłoby dość dziwne, zważywszy na wykładany przez nią przedmiot, ale niestety myliłam się.

– Jak zapewne wiecie, ponieważ można było o tym przeczytać na blogu tej anonimowej zdziiry Secrecy, obecny tutaj Giles Vanhagen i ja przez ostatnie dwa lata mieliśmy romans – powiedziała swym dźwięcznym głosem, który nie tylko u piątoklasistów wywoływał dreszcz strachu. Pan Vanhagen, który właśnie próbował osuszyć serwet-

ką rozlaną zawartość szklanek, zamarł i pobladł śmiertelnie.

W sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

– Romans – powtórzyła pani Lawrence i wzdorliwie wygięła usta w podkówkę. – Nie cierpię tego słowa. Sprawia, że to wszystko staje się plugawe, nędzne i godne pogardy, podczas gdy ja czułam, że jest czyste, cudowne i słodkie. Byłam taka zakochana, taka szczęśliwa i taka pewna, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Po wszystkim zdałam sobie sprawę z faktu, że w pomieszczeniu pełnym niegrzeszących raczej wielką wrażliwością nastolatków w okresie dojrzewania nikt nie zaczął chichotać, rechotać ani nie wyciągnął komórki, by uwiecznić ten moment. Nie, spoglądałam wyłącznie na zaszokowane i osłupiałe twarze. I nikt się nie poruszał. W tak czcigodnej instytucji jak Frognał Academy for Boys and Girls z całą pewnością nigdy wcześniej nie widziano nauczyciela na stole. Jeśli w ogóle zdarzały się przypadki postradania rozumu, to odbywało się to dyskretnie i za zamkniętymi drzwiami.

– Wierzyłam, kiedy przysięgał, że rozstanie się z żoną – ciągnęła pani Lawrence. Wycelowała drżący palec w pana Vanhagena, który przeżywał rozterki, czy lepiej będzie schować się pod stołem, czy może puścić się sprintem w kierunku wyjścia.

– Powinnam była wiedzieć! – Pani Lawrence obróciła się na pięcie, przewracając kolejną szklankę. – Mężczyznom nie wolno ufać, nigdy, słyszycie, dziewczęta? Chcą tylko skraść wam serce, by je następnie podeptać! – Popatrzyła wokół. – Udowodnić wam? – zawołała. – Pokazać wam, co zrobił z moim sercem?

Było to bez wątpienia pytanie retoryczne, na które nie oczekiwała odpowiedzi, chociaż zdecydowane „nie” albo celny strzał wymierzony w jej głowę może zdołałyby zapobiec katastrofie. Ale wszyscy byliśmy zbyt wstrząśnięci.

Pani Lawrence powoli, bardzo powoli rozpięła chanelowski żakiet, zsunęła go z ramion i zrzuciła na sałatkę pana Danielsa. Następnie, jeden po drugim, zaczęła rozpinąć guziki bluzki.

– Przypatrzcie się dobrze – zawołała. – Pokażę wam, jak wyrwał mi serce z piersi.

Wstrzymałam oddech. Każdy z obecnych wstrzymał oddech. Jeszcze dwa guziki i wszyscy dowiedzą się, jaki kolor ma biustonosz pani Lawrence.

Jedynie dyrektorka znalazła w sobie siłę, aby ruszyć się z miejsca. Ostrożnie postawiła wazon z narcyzami na podłodze i wyciągnęła rękę.

– Christabel, moja droga! Proszę, niech pani zejdzie ze stołu.

Pani Lawrence popatrzyła na nią z irytacją.

– Moje serce – wymamrotała. – Muszę je im pokazać.

– Tak, wiem – zgodziła się dyrektorka lekko drżącym głosem. – Proszę! Chodźmy do mojego gabinetu.

– Gdzie...? – Pani Lawrence powoli opuściła rękę i popatrzyła po sobie. Obcas jej lewego buta tkwił w talerzu z zupą pana Vanhagena, a kiedy go z niej wyciągnęła, skapywał grochówką. – Co się stało? Jak ja się tu...? Czemu...? – Jej twarz wyrażała czyste przerażenie. Nauczycielka zachwiała się lekko. Jak ktoś, kto właśnie obudził się z głębokiego snu i nie wiedział, gdzie jest.

– Wszystko w porządku, Christabel – zapewniła ją dyrektorka. – Tylko musi pani zejść ze stołu. Andrew, zechce pan podać jej rękę?

– Dlaczego...? Kto...? – Pani Lawrence rozglądała się z przestachem wokół, błędząc bezradnie wzrokiem po naszych twarzach.

Zupełnie jak Mia, kiedy lunatykowała, przemknęło mi przez głowę. Poczułam falę mdłości i doznałam olśnienia. Pani Lawrence wcale nie zwariowała, a ten jej występ nie był przypadkowy. On został zainscenizowany specjalnie dla nas. Ktoś wykorzystał nauczycielkę jak marionetkę, by coś nam udowodnić.

To, że miał nad nami ogromną przewagę. I był co najmniej jeden krok dalej.

– To jest sen, prawda? – wydusiła pani Lawrence. – To musi być sen.

– Niestety nie – szepnęła jakaś dziewczyna za moimi plecami. Byłam pewna, że wszyscy tak samo jak ja współczują jękającej się i chwiejącej na nogach kobiecie.

Wszyscy. Oprócz jednej osoby.

Pan Daniels i wciąż blady jak trup pan Vanhagen pomogli pani Lawrence zejść ze stołu, a dyrektorka, otoczywszy ją ramieniem, wyprowadziła ze stołówki. Powoli odwróciłam głowę w stronę Arthura. Zupełnie jakby tylko na to czekał, bo inaczej niż zwykle przygwoździł mnie spojrzeniem swoich jasnych, niebieskich oczu. I w końcu przyciągnął wzrok Graysona i Henry’ego. Nie ulegało wątpliwości, że oni doszli do tego samego wniosku co ja.

Arthur się uśmiechnął. Nie był to nawet uśmiech triumfu, lecz odrażający uśmieszek zadowolenia. Podczas gdy wokół uczniowie otrząsali się z osłupienia i strumieniem wylewali z sali, on nieznacznie kiwnął głową w naszym kierunku.

– A to dopiero początek – wyszeptał, mijając nas kilka sekund później wraz z tłumem. – Spróbujcie to powtórzyć, jeśli potraficie.